



Kłamstwo, propaganda i...

Krzysztof Gottesman

Siedemdziesiąt lat temu, 15 października 1944 roku, ukazał się pierwszy numer „Życia Warszawy” – gazety, jak wszystkie w PRL, uzależnionej od autorytarnej władzy, ale także bardzo popularnej, której jednak nie udało się odnaleźć po 1989 roku. Po licznych zawirowaniach i zakrętach zniknęła z rynku prasowego w 2011 roku. Nie zasługuje ona – nie tylko z powodów historycznych – by popaść w całkowite zapomnienie, tak jak na to nie zasługuje cała prasa wydawana w Polsce między 1945 a 1989 rokiem.

Czym były prasa, radio i telewizja w PRL? Pierwsza odpowiedź, która się nasuwa, jest bardzo prosta. Przede wszystkim – narzędziem komunistycznej indoktrynacji, co z czasem przestało być dominujące, przez cały zaś

czas – źródłem fałszywych informacji, propagandy i zakłamania. Pracujący w mediach nie byli dziennikarzami w normalnym rozumieniu, byli pracownikami frontu ideologicznego, jak wtedy mówiono. Nie przypadkiem, podczas kryzysów, przełomów i Polskich

Miesiące na transparentach pojawiały się hasła „Chcemy prawdy”, „Prasa kłamie”, „TV łże” i podobne. Pisali je robotnicy w Poznaniu w 1956 roku i na Wybrzeżu w 1970, studenci w 1968 roku i wszyscy w czasie Sierpnia i stanu wojennego. Janusz Rolicki, człowiek, który media w PRL poznał wyjątkowo dokładnie, i to z różnych stron, a przy tym potrafi na nie spojrzeć z dystansem i krytycznie, w opublikowanych niedawno wspomnieniach opisał sytuację w telewizji po roku 1975, gdy wielu ludzi kultury zaprotestowało przeciwko zmianom w konstytucji, a później dołączyło do rodzącej się opozycji. Jako autor popularnego wówczas programu „Sam na sam” Rolicki musiał bardzo uważać, by nie zaprosić do programu kogoś z tajnej czarnej listy. „To była kuriozalna sytuacja: z jednej strony nie miałem dostępu do list, z drugiej musiałem się orientować, jak one wyglądają. W dodatku te listy stale aktualizowano” – opisuje kulisy telewizji.



Rys. A. Szafrański

W takiej atmosferze, gdy pierwszym cenzorem był autor, wśród ówczesnych ludzi mediów znalazło się także wielu gotowych napisać i powiedzieć wszystko, bez względu na to, w jakim stopniu to było prawdziwe, w jakim stopniu uczciwe i czy atakowani ludzie mieli możliwość odpowiedzi i obrony. Nie brakowało też zwykłych donosicieli – tajnych współpracowników policji politycznej. Peerelowskie media, co jest szczególnym powodem do wstydu, tworzyły, również na podstawie podpowiedzi z MSW, nową mowę i nową rzeczywistość.

Były też gazety – radio i telewizja również – miejscem obrzydliwych nagoniek na politycznych przeciwników. Byli nimi, w zależności od czasu i okoliczności, żołnierze Armii Krajowej, przedwojenna inteligencja, polityczna emigracja, pisarze, grupy wymyślone przez partię i gorliwych dziennikarzy – tzw. prywaciarze, warchoły, bananowa młodzież, syjoniści, rewizjoniści i odwetowcy, fałszywi obrońcy klasy

robotniczej. Każda epoka, każdy I sekretarz KC PZPR i każda ekipa mieli swoich ulubionych wymyślonych przeciwników. Nie patyczkowano się z nimi. Każda obelga, każde kłamstwo, każda wstydliva mniej lub bardziej prawdziwa informacja były dobre, by ich skompromitować i opluć.

Niech najgorliwsi obrońcy peerelowskich mediów odpowiedzą na pytanie, dlaczego tak bardzo popularne, zwłaszcza w chwilach przełomów, były nadające po polsku zachodnie rozgłośnie. Dlaczego słuchano Wolnej Europy, BBC, stacji niemieckich i francuskich? Dlaczego od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku aż po kres PRL wydawano tysiące podziemnych gazetek? Skąd się wzięły popularność i autorytet Jana Nowaka-Jeziorańskiego?

Czyli co? Jaki jest wniosek? Należałoby cały ten okres potępić i przekreślić? Każdy tytuł, każdą redakcję, każdego dziennikarza... Byłbym pierwszy, który by przeciwko temu protestował. Przekreślać nie można, choćby z powodów naukowych. Trzeba ten czas badać, opisywać, znajdować rządzące wówczas mechanizmy, poznawać motywacje. Z powodów czysto naukowych, ale nie tylko. Jako dziennikarz dodam: także po to, by się nie powtórzyły. Panujący w Polsce przez blisko pół wieku ustrój nie był jedynym, w którym zamknięto mediom usta. W dzisiejszym świecie też się wiele takich znajdzie, i to wcale niedaleko od Polski.

Ale też nie zgodzę się na pełne potępienie. Byłoby to wielce niesprawiedliwe. Przywołałem na początku „Życie Warszawy”, dziennik, który powstał dokładnie siedemdziesiąt lat temu, założony – jak najbardziej – przez komunistów, gdy dopiero zaczynali zaprowadzać w Polsce swoje porządki. I jak najbardziej tworzył nową rzeczywistość, ze wszystkimi ułomnościami, grzechami, niegodziwościami, także fałszami i kłamstwami. Ale też każdy, kto przeżył w PRL kilkadziesiąt lat i kto dziś podejmuje się badań na tamtym okresie, musi przyznać, że była to

gazeta najpopularniejsza i autentycznie lubiana. Pomijam to, że była też pierwszą gazetą, którą zacząłem czytać i która towarzyszyła mi przez ładnych kilkadziesiąt lat świadomego życia. Pomijam też fakt, że jako jedna z nielicznych miała bardzo rozbudowany jedyny w swoim rodzaju dział ogłoszeń drobnych, z którego można się było dowiedzieć bardzo wiele o rzeczywistej kondycji gospodarki, i bardzo poczytny dział nekrologów. Tam tylko mogły pojawić się informacje – choć często w niepełnej formie, to prawda – o śmierci ludzi przez władzę nieuznawanych i skazanych na zapomnienie. Dowódcy Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, urzędnicy II Rzeczypospolitej, emigranci, a także przeciwni rządzącym artyści tylko w tu drukowanych krótkich tekstach w czarnych ramkach mogli dostać choć odrobinę sprawiedliwości. To w „Życiu Warszawy” publikowali swoje teksty Kotarbiński, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Tatarkiewicz i wielu innych naprawdę prawdziwych intelektualistów. Czarno-białe fotoreportaże Lucjana Fogla pokazywały prawdę o Polsce, jaką gdzie indziej trudno było zobaczyć. W tamtych czasach to naprawdę było ważne, że obok, nie chcąc o tym zapominać, kłamstwa i propagandy, pojawiały się tam treści inne, pisane innym językiem, naprawdę ważne.

Nie ma jednej odpowiedzi, jak oceniać „Życie Warszawy”, jak oceniać media PRL. Moja generalna ocena jest jak najbardziej krytyczna, bliskie są mi hasła pisane przez studentów i robotników. Ale, ale – jest wciąż to jedno wielkie ALE, które nie pozwala na pełne i bezwarunkowe potępienie i przekreślenie. Wyszła niedawno dwutomowa antologia polskiego reportażu XX wieku. Choć można mieć pretensję do redaktorów o zbyt letni dobór tekstów, to i tak jest to niezwykła lektura. Pokazuje, że w tych strasznych czasach pojawiały się również teksty, które mówiły prawdę. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN